

PORTRET OPOWIEDZIANY

List do A.

Drogi Andrzeju! Drogi Jubilacie!

Ileż to już lat się znamy! Moje pierwsze wspomnienie związane z Tobą to zajęcia ze statystyki. Dawalesz karteczki z zadaniami – siedziałem w pierwszym rzędzie w sali 111 – szybko rozwiązywałem zadanie i mogłem z młodym wówczas doktorem chwilę pogadać. Był to dla mnie zaszczyt. Ja – student z Doktorem! A poza tym to były jedyne chwile w moim życiu, gdy statystyka okazywała się zadziwiająco prosta i logiczna.

Potem sekretarzowałeś Radzie Wydziału. To też był dla mnie organ tajemniczy, z którym zetknąłem się dopiero przy okazji obrony doktoratu. Oj, postraszyłeś mnie wtedy, mówiąc, że na początku jednej z recenzji było tyle uwag, że nie wiedziałeś, czym się ona skończy. Tymczasem ważny Profesor napisał, że pracę uważa za bardzo dobrą. Niemniej co się strachu przez chwilę najadłem, to moje... Swoją drogą, kilka lat później, po moim kolokwium habilitacyjnym pouczyłeś mnie, że nie należy zamiast odpowiedzi oceniać jakości pytania. Do dzisiaj o tym pamiętam i przekazuję kolejnym adeptom geografii.

A kiedyś w Sali im. Brudzińskiego na zorganizowanym przez wówczas istniejący Instytut Krajów Rozwijających się konwersatorium, polemizowałaś publicznie – naukowo – z Profesorem Florianem Plitem. Trafiła kosa na kamień! On dogmatyczny – Ty polemiczny. Chyba nigdy z ust improwizującego naukowca nie usłyszałem tylu wystrzelianych, niczym kule z pepeszy, nazwisk naukowców z bliższych i dalszych krajów, wraz z tytułami ich prac i datami publikacji. Zaimponowałaś mi. I trwam w tym podziwie do dzisiaj. A tak szczerze – czy oni naprawdę wszyscy istnieli?

Potem zostałeś prodziekanem. Pamiętam, jak zaangażowałaś się w obronę mojego zatrudnienia – mianowania, w związku z upływającym terminem habilitacji. Spóźniłem się z nią o miesiąc. Walczyłeś, przegrałeś. Zmieniono mi umowę. Dziękuję za walkę! Nie zawsze trzeba zwyciężać, by zostać bohaterem. Dla mnie jesteś.

A zaraz potem współtworzyliśmy nasze wydziałowe Studium Doktoranckie. Wspaniały czas budowy czegoś świetnego. Rozejrzyj się po Wydziale, jak wielu wspaniałych absolwentów buduje dzisiaj nasz wydziałowy świat. I jak dobrze to robi! Kierowałaś tym studium przez 6 lat, a i potem – już jako Dziekan – łaskawym okiem patrzyłeś na doktorantów, na studium i... na jego kierownika.

No i nie mogę nie podziękować Dziekanowi Lisowskiemu za odwagę i determinację, z którą zawiesił wydawanie licznych czasopism wydziałowych koncentrując (z obiektywnych względów niewielkie) środki na *Miscellanea Geographica* oraz na *Pracach i Studiach Geograficznych*. Z perspektywy 8 lat widać jak niezbędna i wizjonerska była to decyzja.

I wiele jeszcze można byłoby wspominać, ale pozwól, że skupię się już tylko na naszej wspólnej podróży do Gabonu. Podróż kształcą, ale także są okazją do skłócenia się lub zaprzyjaźnienia współpodróżników. Pamiętasz, jak błędziliśmy samolotem nad Afryką Środkową, by zamiast w Gabonie wylądować w Kongo? Pamiętasz tę stertę grillowanych ryb w Mayumba? Pamiętasz małe

i duże żmije gabońskie – na szczęście martwe? A Twój wyrafinowany aparat fotograficzny, który udało się reanimować na plaży przy granicy z Kongiem? Pamiętasz brak benzyny na stacjach paliw w tym naftowym kraju? Słonie leśne? Stado bawołów afrykańskich łakomie na nas patrzących? A owoce mango prosto z drzewa w Lopé? A podpisanie umowy o współpracy UW z Uniwersytetem Omara Bongo w środku zamieszek między studentami a policją? Było tego wiele.

Przywołuję te wspomnienia po to, by napisać Ci, jak miłe były Twoje słowa pod koniec podróży, że chętnie byś ze mną jeszcze gdzieś pojechał. Ja też, Andrzej!

I wybacz mi, że tak zwlekałem z zakręceniem szyby w samochodzie, gdy wleciała do niego mucha *tse-tse*. Przecież ona musiała też wylecieć...

Dziękuję za te wszystkie lata i bądź z nami jak najdłużej.

Maciej Jędrusik

Mój Szef, Andrzej Lisowski

Zwroty akcji pozwalają nam zobaczyć nowe miejsca i poznać nowych ludzi. A czasem pozwalają nam poznać ludzi, o których dotychczas tylko myśleliśmy, że ich znamy.

Prof. Andrzeja Lisowskiego zaczęłam rozpoznawać jako studentka, uczestniczka zajęć z *Geografii społecznej*. W późniejszych latach, gdy byłam już pracownikiem Wydziału Geografii i Studiów Regionalnych, wymienialiśmy zwyczajowe pozdrowienia, mijając się w korytarzu. Kiedy zatem prof. Lisowski ubiegał się wiosną 2008 r. o objęcie funkcji Dziekana WGSR i zaproponował mi rozważenie starań o objęcie funkcji Prodziekana ds. studenckich, myślałam, że – przy takim rozwoju sytuacji – będę pracować z osobą, którą już znam. Bardzo się myliłam.

Wspólna ciężka, długotrwała i obfitująca w niespodziewane stresy praca pozwala zobaczyć drugą osobę z zupełnie innej perspektywy, znacznie dokładniej i pełniej niż dzieje się to w sytuacjach codziennych. W ciągu dwóch kadencji naszej współpracy naprawdę poznałam Andrzeja Lisowskiego. Po kilku latach od zakończenia tej współpracy wciąż bardzo dobrze widzę i doceniam te Jego cechy, które miałam okazję spostrzec.

Siłą rzeczy, najlepiej potrafię wskazać cechy Andrzeja Lisowskiego jako Szefa. Myślę, że nie tylko ja postrzegałam Go jako Dziekana, który stara się sprawować swą funkcję tak, aby każdą osobę na Wydziale docenić i nie sprawić jej żadnej nieuzasadnionej przykrości. Kiedy zdarzały się chwile, gdy konieczne było podjęcie działań nie dla wszystkich miłych (a w życiu Dziekana takie chwile są częste), Andrzej Lisowski bardzo to przeżywał i zwykle starał się wypracować jakiś kompromis lub znaleźć rozwiązanie, które dla wszystkich byłoby do przyjęcia. Można uznać, że taka empatia i miękkie serce to nienajlepsze cechy przywódcy, zwłaszcza w niełatwych czasach, ale kto wie, czy to nie po części z ich powodu po zakończeniu sprawowania funkcji Dziekana Andrzej Lisowski bywa nazywany „Dziekanem Ojcem”?

Jako szef prodziekanów Andrzej był – moim zdaniem – świetny. Kiedy już nabrał do kogoś zaufania, pozwalał mu bardzo samodzielnie realizować swoją część pracy, bez konieczności ciągłego tłumaczenia się z poszczególnych decyzji. Kiedy dana sprawa prodziekana była na tyle ważna, że włączenie się Dziekana było wskazane, nie próbował dla zasady po swoim jej rozwiązywać, lecz pozwalał, by w uproszczeniu przedstawić Mu problem i najważniejsze (zdaniem prodziekana) postępowanie – jeśli został przekonany, włączał się do pracy zgodnie z przedstawioną wizją. Jeśli sposób postępowania nie był oczywisty, starał się znaleźć go, w pełni angażując się w zrozumienie

wszystkich uwarunkowań danej sprawy. Pozwalało to mieć zarówno pewność siebie i swoich decyzji, jak i całkowite przekonanie, że w razie potrzeby zawsze można liczyć na pomoc – nawet jeśli Dziekan w danej chwili miał mnóstwo własnych trudnych spraw.

Jeszcze jedna cecha Andrzeja jest bardzo charakterystyczna i miło odbierana, gdy wykazuje ją nasz Szef. Chodzi o zwracanie uwagi na to, o czym wspominamy mimochodem w trakcie codziennych rozmów. Później możemy ze zdumieniem stwierdzić, że Andrzej pamięta na przykład, jak na imię członkom naszych rodzin, jakie mieli ostatnio problemy i z życzliwością pyta, czy już wszystko w porządku. Dotyczy to wszystkich współpracowników, niezależnie od stanowiska. To bardzo miłe.

Z kolei rozbawienie mogą budzić częste problemy Andrzeja ze sprzętem elektronicznym. Zwłaszcza obsługa innych niż podstawowe funkcje smartfonów to dla Niego trudne wyzwanie. Ponieważ jednocześnie Andrzej lubi takie urządzenia, dość często przydarzają Mu się kłopoty z zapanowaniem nad nową „zabawką”, co niezmiennie budzi rozweselenie świadków takiej sceny.

Obraz Andrzeja (nawet ten namalowany wyłącznie na podstawie kontaktów wydziałowych) byłby niepełny, gdyby nie wspomnieć o Jego wielkiej miłości do psów, a zwłaszcza ukochanego Koreczka. Korka zna bardzo wiele osób z Wydziału, chociaż większość z portretu (wiszącego w pokoju 127) oraz opowieści – głównie samego Andrzeja, ale także tych, którym udało się widzieć ich razem na spacerze. Być może te opowieści wspólnych znajomych są nieco podkoloryzowane, ale doskonale mogą sobie na ich podstawie wyobrazić tego postawnego mężczyznę całkowicie podporządkowanego woli jamnika...

Węższe jest grono tych, którzy mieli okazję zauważyć przywiązanie Andrzeja do Jego samochodów. Jest On dobrym kierowcą, a przy tym bardzo dba o samochód. Odnosi się to nie tylko do jego stanu technicznego, ale również czystości i estetyki wnętrza. Kiedy pierwszy raz wsiadłam jako pasażerka do Fiata Andrzeja, po bardzo krótkiej chwili zaczęłam się nerwowo zastanawiać, czy aby nie mam brudnych butów... Pomyślałam, że kultura osobista Andrzeja na pewno nie pozwoliłaby Mu dać mi odczuć, że coś jest nie w porządku, ale potem zapewne czułby potrzebę porządnego wysprzątania wnętrza samochodu. Moje ówczesne zaskoczenie mogę tłumaczyć jedynie tym, że dopiero później dowiedziałam się, iż zdaniem syna Andrzeja nie tylko Koruś, ale i Bravus (czyli pies i samochód) są dla Niego jak członkowie rodziny.

Mam wrażenie, że w dłuższym czasie różnorodne spostrzeżenia dotyczące danej osoby są jak pojedyncze dotknięcia pędzlem na impresjonistycznym obrazie, pozwalające nam z perspektywy zobaczyć ciekawą całość. Dla mnie z tej perspektywy wyłania się obraz Andrzeja Lisowskiego jako człowieka bardzo ciepłego, zdolnego do empatii, prawego i wrażliwego, dobrego człowieka, niepozbawionego cech budzących w otoczeniu także odruchy opiekuńcze. Andrzeju, bardzo miło było Cię poznać!

Bożena Kicińska

Andrzeja Lisowskiego poznałem ponad pół wieku temu, ale przez wiele lat były to kontakty niejako „na odległość” z zachowaniem sporego dystansu. Bo czyż kończący studia student zwraca specjalną uwagę na młodszego o trzy roczniki kolegę, nawet jeśli ten obiera tę samą specjalizację? Wie kto to jest, ale niewiele więcej. Potem ten sam osobnik, już jako przemądrzały młody pracownik naukowy, który poza swoją własną wąską dyscypliną świata nie widzi, nieufnie patrzy na osobę z sąsiedniego zespołu. Zwłaszcza gdy ta druga osoba zajmuje się problematyką pokrewną, ale

przecież inną i do tego inne preferuje metody. Baczniejszą moją uwagę zwrócił Andrzej dopiero na posiedzeniach rady wydziału. Nie był on demagogiem ni gadułą, ni też wydziałowym celebrytą. Zabierał głos rzadko, tylko wtedy, gdy miał rzeczywiście coś co powiedzenia, mówił z sensem, zwięźle i krótko (wprawdzie w późniejszych latach zdarzało mu się rozgadać, ale nadal mówił do rzeczy). Warto było go słuchać i... zastanawiać się nad sensem wypowiedzi.

Czytywałem niektóre jego artykuły, a przede wszystkim książkę o społecznej percepcji klęsk żywiołowych. Są to prace zwięzłe (także książka), konkretne i wyróżnia je znajomość literatury anglojęzycznej. Odwołań dużo, ale tylko tam, gdzie były one potrzebne. Ale to nie było (poza klęskami, gdzie zakresy naszych zainteresowań zazębiały się) moje poletko badawcze. Przede wszystkim poznałem jego recenzje i wiele się z nich nauczyłem. Recenzje pisane przez pracowników naukowych bywają różne. Trafiają się laurki, z których nic nie wynika, poza tym, że recenzent nie przyłożył się do pracy, trafiają się i takie, w których po paru stronach złośliwego i nie zawsze sprawiedliwego wytykania błędów następuje pozytywny wniosek końcowy. U Andrzeja było inaczej – recenzje cechowało przyjazne nastawienie do ludzi, chęć zobaczenia pozytywów, uznanie prawa autora do odrębnych poglądów, lecz zarazem rzetelne i taktowne zwrócenie uwagi na błędy i niedostatki. Wniosek końcowy zawsze był dobrze udokumentowany, wynikał logicznie z treści recenzji. Nie zostawało zatem nic innego, jak przemyśleć sprawę i np. zabrać się do poprawiania artykułu. Wiem, co piszę, bo zdarzało mu się recenzować moje teksty i sporo mu zawdzięczam, zwłaszcza jeśli chodzi o ostrożność wnioskowania, bo moje teksty bywają zbyt jednostronne...

Najlepiej jednak poznałem Andrzeja w czasie, gdy był on już dziekanem Wydziału Geografii i Studiów Regionalnych, a ja jednym z prodziekanów (lata 2008–2012). To była trudna kadencja. Narosłe przez lata zadłużenie Wydziału sprawiło, że musieliśmy podejmować decyzje trudne, bolesne i przez to niepopularne. Chyba zagrożony był nawet byt jednostki, a przynajmniej tego się obawiałem. Niezależnie od tego, jak pracują poszczególni prodziekani, za wszelkie decyzje personalne, finansowe, organizacyjne odpowiada zawsze Dziekan główny. Stanowiliśmy chyba zgrany zespół, Andrzej potrafił dobrać ludzi wzajemnie się uzupełniających i umiejętnie nami kierował. Staraliśmy się nie wchodzić sobie w paradę, ale wzajemnie wspomagać i uzupełniać. Ale każdą ważniejszą decyzję Andrzej starannie rozważał, konsultował. Przypominał, żeby kogoś nie skrzywdzić, wypytywał się, nie tylko nas zresztą, o sytuację życiową, rodzinną osoby, której decyzja dotyczyła. Umiał powiedzieć: „Nie wiem, muszę to jeszcze przemyśleć w nocy”. Niekiedy było to nawet denerwujące (podobnie jak jego wielka pracowitość), ale zostawiał nam ogromną autonomię działania. Obdarzał zaufaniem, a jeśli kogoś obdarzono zaufaniem, to wypada postępować uczciwie. Znajdował przy tym czas, by zapytać o zdrowie, o dzieci, wnuki, potrafił zauważyć zmęczenie i stwierdzić: „Dość się już dziś napracowałeś/napracowałaś, ja napiszę ten projekt uzasadnienia, a ty idź odpocząć”.

Słowo „uczciwy” rzadko, zbyt rzadko pojawia się w opiniach o pracownikach naukowych. Andrzej na to określenie zasłużył. Nie faworyzował ni siebie, ni bliskich współpracowników, ni też swojego zespołu. Nic dziwnego, że po tych trudnych czterech latach wybrano go na następną, też niełatwą kadencję (2012–2016). Nic dziwnego, że wybierany był do różnych gremiów naukowych, w tym do Komitetu Nauk Geograficznych i Centralnej Komisji ds. Stopni i Tytułów. Gdy dokonano wyboru do Komisji, usłyszałem słowa jednego z geografów: „Dobrze się stało. Tak trudno dziś wśród nas o człowieka życzliwego ludziom, uczciwego i mądrego, który chciałby poświęcić swój czas i siły innym”. Trudno o bardziej pochlebną opinię.

Szanuję Cię, Andrzej –
Florian Plit